

Katarzyna Jarosz-Rabiej, *Absynt po polsku*, Organon, Zielona Góra 2013, 70 s.

Najnowszy zbiorek opowiadań Katarzyny Jarosz- Rabiej (ukazał się tradycyjnie w zielonogórskiej oficynie Organon) nawiązuje tytułem do kapitalnego obrazu Henriego de Toulouse-Lautreca pod tytułem *Absynt*. Na tym obrazie widać przy obskurnym, kawiarnianym stoliku, pod lustrem, młodą jeszcze, w żółtej sukience i ukwieconym kapeluszu, kobietę. Kobieta tępo patrzący w kieliszek: to jedyne danie, jakie zamówiła, ale przysiadł się koło niej mężczyzna.

Katarzyna Jarosz-Rabiej jest cenioną w swoim mieście pisarką, poetką i prozaikiem, tłumaczoną na rosyjski, grecki, francuski, niemiecki i angielski, za całokształt twórczości otrzymała w 2010 roku Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielonej Góry, nominowana też dwa lata wcześniej do prestiżowego Lauru Lubuskiego. Nie dziwię się. Ma niemały potencjał. Opowiadania jej czyta się właściwie jednym tchem. Trzymają w napięciu nie tylko wartkim tokiem narracji, brakiem dłużyzn. Są konsekwentne. Mają lekkość prawdy. Akcja powstaje tu ze scen – wyłaniają się osobowości, wyziera ludzki dramat. Tematem jest wszakże tak lub inaczej dający o sobie znać alkoholizm, uwikłanie w alkohol, tyle że nie samego alkoholika (ten przedstawia niewielkie znaczenie, w gruncie rzeczy), ale osób mu bliskich, rodziny i przyjaciół.

Zwykłe życie. Zwykłe, banalne tragedie, banalne krzywdy i dozgonne miłości, pobożności oraz banalne samobójstwa. Pojawiają się siłą niespodziewanych wspomnień. W anegdotach „dla jaj”, albo kiedy raptem zmieniamy plan dnia, skręcamy w inną ścieżkę, a tam właśnie napatoczy się ktoś, kto zasunie taką gadkę, że hej! Albo nogi nas poniosą na cmentarz. Niejeden z bohaterów po prostu lubi pospacerować sobie po cmentarzu, miewa swoje ulubione groby. Jak dziecko na wagarach. Sama pamiętam węgry spędzane na cmentarzu: trzeba było długo wyszukiwać „ten jedyny”, symbolizujący oczywiście własny mój grób, więc najlepiej młodej dziewczyny, bo wtedy każdy denat po trzydziestce zdawał się nudny, kartoflany.

„Absynt” to wyraz rzadko używany w polskich rozpijaczonych środowiskach. W pierwszej chwili raził mnie. Jakież absynt? Piwsko, żyto, czysta, siwucha, wreszcie truskawkowa, dla przykładu, pryta, konsumowana w plenerze, w zacisznym a przytulnym miejscu, skoro nie ma domu. Autorka jednak faktycznie umieściła sobie punkt obserwacyjny na styku światów. Pracowite, skrzętne gospodarowanie każdym groszem, zdobywanie czegoś na obiad, nawet jeśli praca za biurkiem, ale wystarczy spojrzeć przez okno, wyjść z pieskiem (psy zawsze ciągną do śmietnika!), i jak nic, zderzamy się z wykluczonymi. Czasem znamy ich od dzieciństwa, to nasi klasowi koledzy, koleżanki, dziewczyny, którym można było wręcz zazdrościć powodzenia u chłopaków. No, szalała, szalała, cięża, patrzcie, ukochany dał nogę i w siną dal, pojął dziewicę. Cóż, w katolickiej Polsce Magdalenom się nie wybacza – ja złośliwie dodam: nie u nas stworzono tę fascynującą, archetypalną, figurę świętej ladaczniczki. Wiemy swoje. Że, po pierwsze, „kurestwa nie można wytłumaczyć”, po drugie „nie można się z kurestwa wyleczyć” (*Lato w Linie*). Wiara wiarą, a zdrowy rozum twardą ręką rządzi.

Katarzyna Jarosz-Rabiej doskonale czuje niejednoznaczność moralnego i środowiskowego upadku. Może dlatego, że sama przebywa na pograniczu sfer. Jej własny awans literacki pozwolił poznać z bliska wielu tuzów teatru i literatury, nawet nauk humanistycznych, mianowicie w sytuacjach balangowych. Tu plotkuje się na cały głos, mniej natomiast głębokich rozmów. Dyskusje w oka mgnieniu będą kłótnią. Bezwiednie autorka *Absyntu* podchwyciła tę ważną cechę umysłowości tuzów: są wrażliwi, aż za, ale niereformowalni. Nieciekawi cudzego zdania, epikurejskich argumentów. Samą sztukę retoryki mają – sami powiedzą – w dupie. Są

jak dzieciaki i właśnie to budzi tkliwość. Bezradni. Zgoła rodzony mąż albo tatuś, albo syn. Gorzej, jeśli pije artystka. Kobiety kojarzą się bowiem z synową, z płaczem wnuków, z zimnym piecem i pustymi garnkami. Kiedy pije mężczyzna, kobieta jakoś tam zaradzi. Weźmie nadgodziny, ubierze się (i to świetnie) w ciucholandzie, posadzi szczypiorek w ogródku lub przynajmniej w donicy w kuchni, zamiast płacić ciężkie pieniądze w zieleniaku. Nie zapomni o zielonej pietruszce na purée nawet, gdy nie ma mięsa. Pijący facet to rozumie, bardzo rzadko opuści, no, najwyżej podmacywać będzie łydkę rozmamłanej nad szklaneczką synowej. Co żony ani nie zdumiewa, ani nie upokarza. Żona wie, że synowa nie ulepi staremu pierogów, nie upierze pościeli, nie wykrochmali, a na dzieci potrafi tylko wrzeszczeć. I nie jest na żadnym etacie, i nikt jej nie wypłaca trzynastki. Najgłupszy pijak nie jest taki głupi, żeby jedną na drugą zamienił.

A zatem trzy wymiary: pisarze i pisarki, obnażający ciała i płyciznę intelektualną. Obnażający emocjonalną nieporadność (lub breję), przesądni, zabobonni, tchórzliwi i nieasertywni, a do tego zabawnie próżni. Toteż skromna, pracowita pisarka-prowincjuszka po kilku głębszych doskonale już wie, że po prostu pierogi, Apap na kaca, smalec, małosolne. Drugi wymiar: codzienność na prowincji, ta istna rolada względnej zasobności i absurdalnego okrucieństwa (dom stoi, dom widać, a jakie ciągną się kredyty do spłacania, zazdrośnie łypiący okiem przechodzień nie widzi zza sztachetek). I nie widzi synowej w środku, ani (skoro istnieje tu jakaś, na psychologicznym planie, analogia synowej z pisarką) jak pije, ani jak byle zero może ją mieć. To są zresztą sytuacje do szpiku kości autentyczne.

Trzeci zaś wymiar: żebracy, przysłowiowi cyganie i wykolejeńcy. Menele przebierający kosz na śmieci w poszukiwaniu puszek i petów. Tirówki. Beznadziejne młode pary w irokezach, o twarzach okolczykowanych, namiętnie całujące się pod drzewkiem jedyne tutaj publicznego skweru. Ba! Podobne może pary, wychodzące ze ślub z kościoła.

Urzeka emocjonalna inteligencja Katarzyny Jarosz- Rabiej, gdy wprowadza w ten real. Po lekturze lepiej się rozumie idiotyczność naszych medialnych sporów, ich groteskowe chamstwo, a także beziłę tak zwanej wysokiej kultury polskiej wobec wyskoków polityków, chorych na władzoholizm. Nieuleczalny władzoholizm, który zresztą trawi u nas naukowców i artystów (pozycja zawodowa jako coś, czym, podobnie jak wódą, odreagować można, na chwilę chociaż, jakieś cholerne traumy, traumy wojny, powojennego stalinizmu, sercowych niespełnień). Kultura więc jako pałka dla mniemanej samoobrony. Pokazuje to opowiadanie o locie do Irlandii: celem jest znaleźć się na zdjęciu obok pomnika Jamesa Joyce'a. Kultura jest żoną pijaka. Trzyma tę pałkę (wałek do ciasta albo dechę do krajania chleba). Jednocześnie też oprócz kija i marchewkę: daje wieczne alibi, pierze pościel, filmem Wajdy o Katyniu próbuje za resztę kraju rozwiązać żmud polsko-ruskich stosunków, filmem Agnieszki Holland wyręczyć społeczeństwo w trudzie zrozumienia, czym jest antysemityzm albo (tu jej film o księdzu Popiełuszce), kim jest kat, który zakatuje w końcu przyzwoitego księdza.

No, ale społeczeństwo nawet takie uprzejmości ze strony kultury wysokiej traktuje jak mąż-pijak. Obiad zwróci, pieniądze z bielizniarki podkradnie.

Rzecz jasna, aż tak dalekie tropy interpretacyjne nie są konieczne przy delektowaniu się *Absyntem*

Osobiście uważam za najlepsze

Mieszkanie do remontu

oraz

Lato w Linie

, ponieważ dotykane w nich są jakieś, w rzeczy samej, bebechy naszej psychospołeczności.

Przeszkadza w lekturze tylko jedno. Kwestia to być może redaktorska: mamy do czynienia z monologami bohaterów, zawiązuje się akcja, występują jakieś inne osoby. I mówią, i właśnie te partie dialogowe bywają denerwująco niejasne, a w każdym razie autorka nie próbuje wykorzystać możliwości tkwiących w dialogowym ping pongu, zarówno w tym, co dotyczy charakterystyki bohaterów (przez zróżnicowanie języka ich wypowiedzi), jak i w tym, co ukazałoby rzeczywistą odmienną myśl poszczególnych osób. Być może to ostatnie zastrzeżenie jest nietrafne, ponieważ chodzi właśnie o zdjęcie cieniutkich masek i o ukazanie, jak psychika i mentalność na społecznym dnie podobna bywa psychice i mentalności na wysokiej społecznej półce. Lecz wątpię, aby Katarzyna Jarosz-Rabiej celowo dokonywała takiej śmiałej operacji i diagnozy. Czyni ją wyłącznie intuicyjnie. Ma bowiem, owszem, wielką intuicję. Po prostu, tonując niektóre autentyki, uładniając lubianych znajomych, a także spierając się z wydawcą (redaktorem), bywa kobietą za dobrą. I będąc taką, za wszelką cenę chce happy endu... Książka jest o krok od znakomitej prozy.

Urszula M. Benka